Nr. 18. Lwów, 15. września 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

WSPOMNIENIA O KSIĘCIU ADAMIE SAPIEŻE

Napisał *Kazimierz Remiszewski.*

Inne czasy — inni ludzie! Mimowoli przychodzi na myśl ta sentencya, gdy się łowy dzisiejsze z dawniejszymi porówna. Nie tak to dawno — zaledwie lat kilkanaście temu, polował jeszcze śp. książę Adam Sapieha — a polował antiquo more i żyła wówczas jeszcze tradycya stara prawdziwie pańskich polskich łowów — która obecnie razem z księciem niewątpliwie poszła do grobu.

Polowania takie — jak je śp. książę urządzał — wymagały dużo odwagi osobistej, dużo hartu, doskonałej organizacyi i dokładnego poznania natury grubego zwierza. Już samo tropienie zwierza w zawalonych i śniegiem zasypanych dziewiczych borach górskich wymagało nie małej pracy i wielkiej znajomości rzeczy. Nie było tam mowy o wygodach -- żyło się życiem obozowem — jak na wojnie, a mimoto, albo może właśnie dla tego, wyprawy myśliwskie księcia miały dziwny urok i ci nieliczni towarzysze księcia uważali zaproszenie jako nielada odznaczenie i niemal za patent na prawdziwych myśliwych. Umiał też książę dobierać sobie towarzyszy i pomocników. Goście księcia — to nie „zajączkarze“ jak nazywał śp. książę owych bez wygód obyć się nie mogących sportsmenów, dla których ilość oddanych strzałów była miernikiem rozkoszy myśliwskiej — ale myśliwi zawołani, którym nie brakło ani sił ani odwagi do zakłucia kordelasem osaczonego przez psy rozjuszonego odyńca lub dojścia osaczonego niedźwiedzia gdzieś w zawalonej debrze...

Służba myśliwska księcia — to ludzie na schwał — w których żyłach kipiała krew myśliwska. Wszystko typy dziś już zaginione — przywiązani do księcia na śmierć — szalenie odważni, obrotni, przytomni a karni, znający doskonale wszystkie arkana łowieckie. Książę nie znosił

fałszywych objazdów, ani też żadnych bałamuctw; musiało też wszystko iść jak z płatka. Bo też i komenda była znakomita. Osobistość księcia nawskróś indywidualna — jego sposób mówienia i obcowania z ludźmi były zawsze tego rodzaju, że wszystkich porywały. Hetman urodzony w każdym calu — umiał rozkazywać krótko, wyraźnie a mądrze, tak, że budził w podkomendnych ślepą ufność i nie sposób było nie wykonać rozkazu z największą gotowością i akuratnością. Śliczna postać księcia, zawsze pełna zapału, budziła jednocześnie i miłość i posłuch.

Mimo tego, że książę żelazną ręką trzymał całą drużynę i to tak dobrze gości jak i służbę myśliwską, — nie ciężył jakoś ten rygor, bo każdy czuł, że to nie wielkopańskie kaprysy, ale dobro samej rzeczy tego wymaga, aby był we wszystkiem ład i porządek.

Dla włościan, to jest dla obławników był książę zawsze bardzo łaskaw i hojny — toteż czując serce w księciu, garnęli się chłopi do niego jak do ojca i tęsknili do tej pory — w której książę na polowania zwykł był zjeżdżać.

W samych początkach po objęciu dóbr krasiczyńskich polował książę z ogarami i sieciami u siebie i w sąsiednich kniejach. Niebawem jednak zaniechał tego rodzaju łowów i starał się o podniesienie zwierzostanu przez stosowną gospodarkę łowiecką. Założono zajęczarnie i bażantarnie — psiarnia została, ale już tylko na dziki i niedźwiedzie. W owych czasach dzików było dużo, w krasiczyńskich lasach w zimie bardzo często, nieomal codziennie były dziki w którymś rewirze, a gdy ich wyjątkowo nie było, szukało się ich dalej w Reczpolu, Krzywczy, Bełwinie, Węgiercе, polując wspólnie z sąsiadami. Jednocześnie urządzał książę corocznie wycieczki w góry do Użoka i Turzy, w jesieni na niedźwiedzie i w zimie na dziki. Towarzyszyli księciu oprócz synów głośni ówcześni myśliwi jak Andrzej i Stefan hr. Zamojscy, hr. Artur Potocki, Dembowski, Kownacki, Oczosalski i inni. Z domowych jeździł z księciem nadleśniczy Floryan Stormke i nie mniej doskonały strzelec i myśliwy, sekretarz Manasterski. Brał też udział w tych łowach Kossak starszy i wspomnienia utrwalił w ślicznych akwarelach. Dojeżdżacze byli zawsze doskonali — między nimi odznaczył się najwięcej Zachary, który razem ze Stormkem brał dziki żywcem przy psach zażartych jak szatany — i to nie byle warchlaki, ale grube wycinki. Łowczym stałym był w Turzy Brzostowski, ten sam który później z hr. Leopoldem Starzyńskim i Karolem Brzozowskim jeździł do Syryi.

Rozmiłowany w polowaniu na grubego zwierza, nie spuszczał jednak książę z oka drobnego myśliwstwa w dobrach swoich. Sławne były polowania na Podolu w dobrach bilczańskich i w Żurawicy i to w tych czasach, gdy Galicya wcale nie odznaczała się bogatym zwierzostanem. Zwykły rozkład bilczańskiego polowania w 3 dniach wynosił przeszło tysiąc zajęcy, stokilkadziesiat rogaczy i kilkanaście dzików. Później zadzierżawił książę polowania górskie od kamery i włościan w Niebyłowie i Kraśnie. Duże te obszary uchodziły za zupełnie puste i wyrażano się o nich z przekąsem, iż knieja nazywa się Niebyłów, gdyż tam nigdy nic nie było, nic nie ma i nic nie będzie. W rękach księcia jednak nie okazała się knieja niewdzięczną, bo w jednem kilkudniowem polowaniu padło przeszło 80 dzików, ośm rysiów a nawet i drobniejszej zwierzyny wcale poważna cyfra. I późniejsze tam polowania udawały się zawsze, a takich odyńców jakie tam padały dziś już chyba na Kaukazie szukać by trzeba.

Kto zna Karpackie lasy, te głębokiemi debrami przeznięte knieje, zawalone wszędzie kłodami, strome zbocza, ogromne śniegi w zimie i kolosalny obszar, ten potrafi zrozumieć, że prowadzenie polowania w górach wcale nie łatwe. Już samo tropienie wymaga dużego wysiłku i wielkiej rutyny, — osobliwie z rysiami sprawa bardzo trudna. Mimo tego nie wolno się było pomylić, ani też nie znosił książe niespodzianek, aby się np. na linii strzelców zjawił zwierz w miocie nie zapowiedziany.

Polowaliśmy zawsze z psami — na najświeższy trop wchodni puszczało się tropowca, a gdy ten zagłosił doszedłszy do barłogu, puszczało się z drążków kundysy — za którymi szli w miot dojeżdżacze.

Na przesmykach na wadze stawali strzelcy, a jeden z nich losem wybrany miał prawo dochodzić w miocie osaczonego dzika. Tylko do dużego odyńca, któremu psy nie mogły dać rady wolno było w miocie strzelać dochodzącemu myśliwemu. Sztuki zaś przez psy przytrzymane musiał kłuć kordelasem. Książę sam, dojeżdżał zwierza konno — sławna Gałka, nieduża gruba klacz na stalowych nogach zjeżdżała na zadzie po ścianie najstromszej debry i pięła się po urwiskach jak koza. Książę chował czapkę do kieszeni i torując sobie drogę kordelasem parł za głosem psów — skoro się dziki poza obręb obstawionego miotu wydostały. Gałki nie potrzeba było przywiązywać, skoro zaszła potrzeba, książę zesiadał z niej, kłuł dzika osaczonego, a Gałka szła za nim jak pies. Za miotem, wolno było każdemu iść za psami a nie lada płuc i nóg potrzeba było, aby dzika czasem nad wieczorem już gdzieś w dalekiej dojść kniei. Z dobrymi bowiem psami ubicie dzika jest tylko kwestyą czasu. Grube sztuki stawią się psom zaraz często już w barłogu, ale słabsze sztuki pomykają nieraz daleko, zanim je psy dopędzą osobliwie w gąszczu, który dzik pruje bez oporu a pies z trudem przechodzi. W górach co prawda, nie dużo było amatorów takiego pościgu osobliwie w głębokim śniegu, który zwykle tak wysoko pokrywał ziemię, że i dziki i psy za nimi tylko stępem po starych korytach chodziły. Ale w Krasiczynie gdy dzik nie padł w miocie, nie wolno było psów zostawić; szło się jak długo sił starczyło. Nie raz doszedłszy dzika nie wiedzieliśmy wogóle gdzie jesteśmy, to tylko było pewne, że gdzieś daleko poza granicami krasiczyńskich lasów.

Psiarnia składała się z kundysów ciętych, którym profesorowali tropowce, tj. najczęściej ogary. Często gęsto dziki wycinały nam psy, tak, że wychodząc ze zgrają kilkunastu psów wracaliśmy z kilkoma, a raz nawet ani jednego psa nie mieliśmy zdrowego. Osobliwie jeden — Porwisz, farbotrop od hr. Artura Potockiego, tak się jakoś niezgrabnie brał do dzików, że więcej miał blizn niż zdrowej skóry. W każdem spotkaniu musiał coś oberwać i stracił w tych walkach ogon, który mu locha odgryzła, nawet marny warchlak wybił mu oko. Nie brakło także i komicznych epizodów. Raz w pościgu zaskoczyła nas noc. Psy dużego odyńca doszły daleko za miotem już w obcym lesie. Słyszeliśmy obaj ze śp. księciem Leonem i dzika i psy bardzo blisko, a jednak nie było sposobu strzelić do dzika, który się zaszył tyłem w jakąś kupę gałęzi. Słyszeliśmy trzask tych gałęzi i widzieliśmy jakieś sylwetki, nic jednak dokładnie nie dało się rozpoznać, tem więcej, że cała ta kupa psów wraz dzikiem ustawicznie kotłowała. O kłuciu nic było mowy, bo odyniec choć bardzo zmęczony bronił się jednak zapamiętale i widocznie tył miał zakryty, co go od pochwycenia przez psy zabezpieczało. Uradziliśmy tedy zapalić ogień, aby

dzika zobaczyć, miało to jednak tylko ten skutek, że dzik przestraszony ogniem przebił się przez wianek otaczających go psów i zniknął w pobliskim gąszczu, zostawiając nam na placu bitwy na urągowisko swój ogon, który mu jeden z ciekawszych psów w ostatniej chwili urwał. Ogon ten, oprawiony w ramki, wisi dotąd w Krasiczynie w pokoju śp. księcia z dopiskiem jego ręki: „Hańba myśliwym, co psy zdradzili“.

Książę sam był bardzo odważny. Nie zapomnę nigdy jak szedł na pomoc synowi swemu, śp. księciu Leonowi, na którego odyniec szarżował. Wówczas mieliśmy obtropionego odyńca w Korytnikach, który nam już dwukrotnie psy wyciął i umiał się zawsze szczęśliwie wyśliznąć. Ten dzik trzymał się tej taktyki, że dawał się oszczekiwać tropowcowi w barłogu aż do chwili, gdy już wszystkie psy były w kupie przy nim. Wówczas rzucał się na psy, ciął w prawo i w lewo i wynosił się bez asysty poturbowanych ciężko psów, bez względu na wiatr i wagę, tak, że nie można było nigdy przewidzieć którędy się obróci, gdyż nie trzymał się nigdy wekslu.

Poznawszy więc po charakterystycznym tropie jakiego mamy gościa, puściliśmy tylko dwa psy najbardziej ostrożne. Mimo tego, odyniec zaraz przy barłogu zabił tropowca Śpiewaka uderzeniem gwizdu, a Mrówka, mała suczyna, dzięki swojej małości uszła śmierci i odniosła tylko lekkie skaleczenie i nie zrażona swoją szramą prowadziła go naszczekując z bezpiecznej odległości ku linii strzelców, którą swoim zwyczajem dzik chciał zbadać, szukając odwrotu. Książę Leon w tym dniu wyciągnął supełek, widząc więc, że dzik wolno idzie i często dłużej przystaje, począł go w miocie, rzadkiej młodej drągowinie, podchodzić. Udało mu się niedaleko od linii dzika dojść i tuż pod stanowiskiem księcia starszego strzelić dwa razy. Że jednak strzelał ukośnie z tyłu, dzik choć trafiony śmiertelnie, nie został na miejscu, lecz zwrócił się i rzucił się na księcia Leona. Wówczas skoczył na przełaj dzikowi książę starszy z kordelasem w ręku, na szczęście jednak nie przyszło do spotkania, gdyż dzik na kilka kroków przed księciem runął martwy, w samą porę, gdyż trudno przypuścić, aby go książe już wówczas wiekowy, był w stanie utrzymać na kordelasie a w zapale zapomniał książę o sztućcu, który trzymał w lewej ręce lub może nie chciał strzelać ze względu na księcia Leona, prawie w kierunku strzału stojącego.



ADAM książę SAPIEHA.

W Niebyłowie dzielnie nam sekundował śp. Grzegorz Głuchowski z Kamiennej, doskonały myśliwy i strzelec, lubiany bardzo przez księcia dla swojego zacnego charakteru i wielkiej przychylności dla ludu. Głuchowski z amatorstwa tropił dziki, w czem był nieporównanym mistrzem. — Osobliwie nie zwiódł go nigdy ryś swojem kluczeniem a już nikt tak jak on nie potrafił oznaczyć, który jest ostatni trop wchodni, chyba sam książe, który w tym względzie miał oko nadzwyczaj pewne i wyrobione. Zważywszy, żeśmy mieli dnie, w których było obciętych po kilkadziesiąt dzików, że zdeptane były linie i drogi w różnych kierunkach na wekslach, wcale nie tak łatwą rzeczą było powiedzieć, w którym miocie dziki leżą, ile jest sztuk i który jest ostatni trop. Na długie deliberacye nie było czasu, gdyż ze względu na krótki dzień zimowy książę wcześnie rozpoczynał polowanie a w ogóle nie było fryców między nami, ale wątpliwe kwestye i to zawsze trafnie, rozstrzygał książe wspólnie z Głuchowskim.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

III.

Koniec marca przeszedł bez nadzwyczajnych wydarzeń, kwiecień zaś obfitował w rozliczne wypadki. Ranek szóstego kwietnia zastaje nas w pogoni za dwoma nosorożcami; nocy ubiegłej zostawiły one liczne ślady w swoich peregrynacyach naokoło obozu. Skoro świt, puszczamy się w pogoń. Jest to arcyniebezpieczne zadanie, bo o cztery metry przed nami nic nie widać, prócz traw wysokich, gęstych i nie wiadomo, z której strony można się spodziewać rozwścieczonej bestyi.

Zbliżamy się jednak do celu bez żadnych przeszkód, wiatr tylko nam bruździ, bo co chwila zmienia swój kierunek. Widocznie przeznaczone jest, że dzień ten nie przejdzie bez korzyści dla nas, bo gdy jesteśmy wśród największej gęstwiny, nagle słyszymy, o jakich kilkanaście metrów, znane nam dobrze charakterystyczne chrząkanie i granie śledziony.

Naraz z gęstwiny wynurza się jakaś olbrzymia

masa i miażdżąc naokół krzewy i trawę, biegnie na nas z szybkością lokomotywy.

W mgnieniu oka odskoczyliśmy w bok, a rozjuszone zwierzę przebiega i znika w wysokich trawach.

dobna. Wściekłość zwierza rośnie z każdą chwilą, już nie chrząka, ale wprost kwiczy, na podobieństwo naszej świni, coraz grubiej i głośniej. Zbliża się jednak.

Z której strony mamy wiatr, nie wiadomo. Przekonać



Scena z polowań ks. Adama Sapiehy.

się o tem nie można, bo naokoło ziemia mokra i ani krzty piasku[1]). A tu czas ucieka. Ach! otóż i drugi atak w naszą stronę!

Stało się to tak prędko, że nie miałem czasu zmierzyć się i strzelić.

Nie upłynęło parę sekund, a usłyszeliśmy, że zwierz powraca tąż samą drogą, węsząc i szukając nieprzyjaciela, co go śmiał niepokoić. Chrząka, szuka tu i tam, węszy, podobny do olbrzymiego gończego psa, z tą tylko różnicą, że role są zmienione: zwierzyną, której poszukuje — to my.

Roślinność w tem miejscu jest tak gęsta, że nic nie widać, trzeba czekać. To nieznośne! Widzę doskonale, jak poruszane trawy kołyszą się, chylą, mogą więc odgadnąć, gdzie zwierz się znajduje, ale widzieć go niepo-

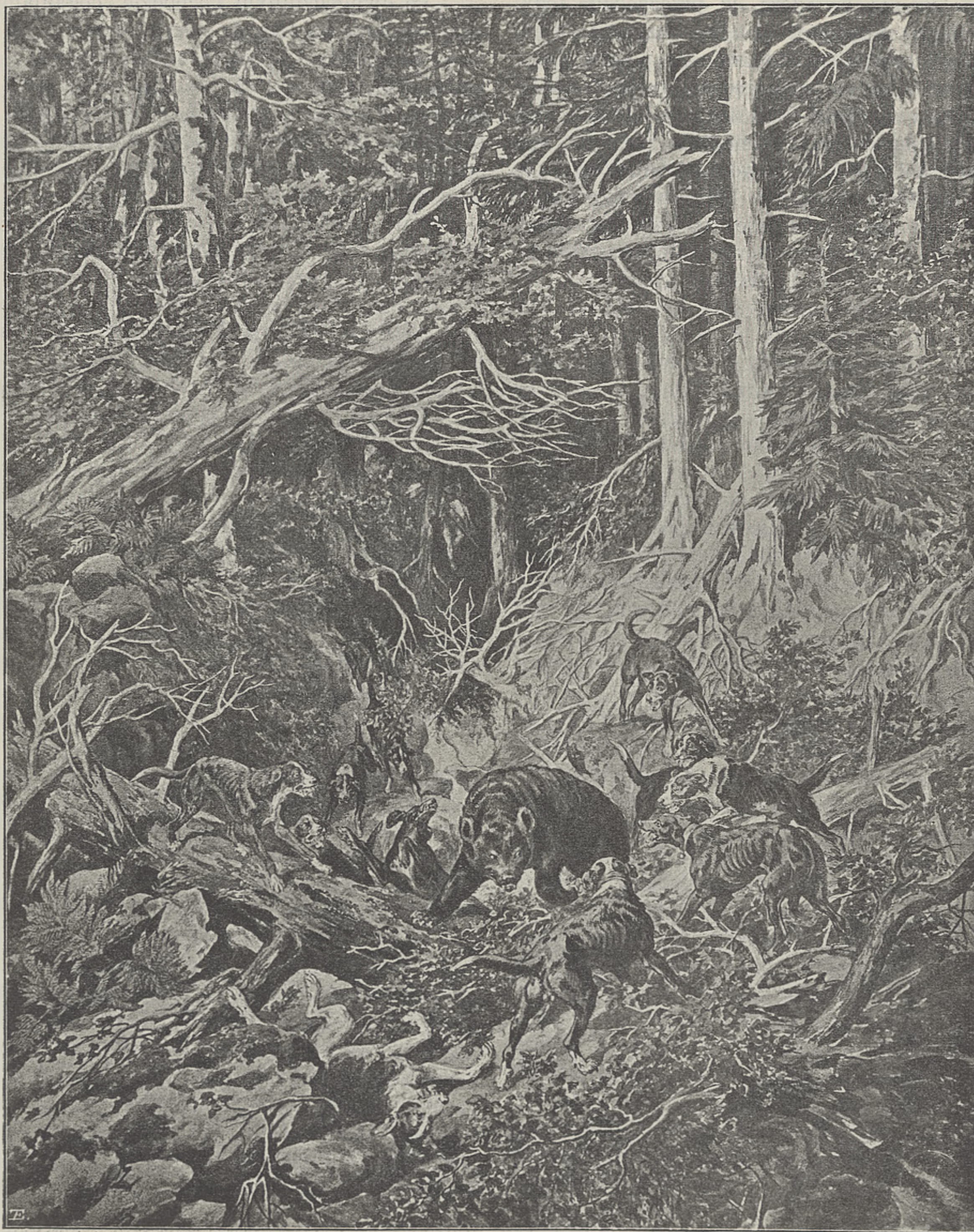
Tym razem spostrzegam zwierza na chwilę przed tem, nim on nas; zwolnił trochę, choć zawsze galopuje.

Uskoczyliśmy na bok i skryliśmy się w trawach. Ja, schowany za drzewo, widzę go doskonale, jak na dłoni i czekam aż się zbliży.

[1]) Gdy jest gdzie piasek w pobliżu, bierze się garść i rzuca w powietrze; wiadomo w tej chwili, w którą stronę go wiatr poniesie.

W tej chwili zwalnia kroku i węszy widocznie nasze świeże ślady; korzystam z tego i posyłam mu dwie kule. Zwierz nagle w miejscu zakręca i umyka w przeciwnym od nas kierunku; widzę go poprzez gęsty

Rozkazuję więc Rodzaniemu wejść na drzewo dla zbadania okolicy. W chwilę potem Rodzani objaśnia nas, że drugi nosorożec już jest daleko, że to właśnie samiec i że zapewne strzelaliśmy do samicy.



Scena z polowań ks. Adama Sapiehy.

dym i na pożegnanie posyłam mu expressem kulę w grzbiet.

Ale to nie koniec, gdyż oto w tejże samej chwili słyszymy tuż za nami złowrogie chrząkanie. To drugi nosorożec się odzywa, o którym zupełnie zapomnieliśmy, zapewne szanowna małżonka! Zresztą nie wiem, on czy ona przebiega o jakich 6 metrów, śledziona w niej gra, zwierz jest widocznie mocno podrażniony; szczęście dla nas, że pobiegł w drugą stronę. Broń nas Boże od nowego napadu!

Potykać się ze zwierzem wśród traw gęstych, gdzie tylko słuchem można się kierować, to szaleństwo, to dobrowolne narażanie życia!

Niezadługo jednak mieliśmy się przekonać, że murzyn jest w błędzie. Krew, ten znak tak ważny dla myśliwego, zaprowadziła nas na trop nosorożca, którego, o ile mi się zdaje, musiałem ranić porzadnie.

O jakich sto metrów napotykamy miejsce gdzie padł po raz pierwszy. Widocznie zbierając resztki sił, zerwał sie i, ubiegłszy parę kroków, padł nagle na brzuch, przygniatając sobie wszystkie cztery nogi.

Nosorożce najczęściej tak padają, gdyż nie giną od razu, lecz uciekają dopóty, dopóki nogi nie odmówią im zupełnego posłuszeństwa.

Ubiliśmy najwspanialszego samca.

Po zmierzeniu i odfotografowaniu zwierza zostawiam na straży dwóch ludzi, a sam wracam do obozu, ażeby przysłać służbę do przeniesienia zwierzyny. W drodze przechodzimy przez równinę, gdzie poprzednio samica, rozdrażniona wystrzałami, chciała napaść na nas. Świeże ślady i skopana ziemia świadczą, iż przechodziła tędy, gdy naraz złowrogie chrząkanie oznajmia nam, że zwierz jest tuż w pobliżu, oczekując widocznie na powrót towarzysza. Naokół na odległość siedmiu, czy ośmiu metrów otacza nas skalista równina, bez żadnego krzaka, ani trawy. Ukryć się niepodobna, umieszczam się więc tak, ażeby mieć przed sobą dużo wolnego miejsca. Biorę moją ósemkę, ażeby zrobić przyjemność ludziom moim, gdyż mi przed chwilą wymawiali, że nie używam jej nigdy, i staję nieruchomo wśród traw, wprost miejsca gdzie dochodzą chrząkania nieszczęsnej wdowy nosorożca.

Zwierzę jest niespokojne, lecz nas jeszcze nie zwęszyło; słyszę ciężki tętent kopyt. Nadchodzi. W chwilę potem widzą ją doskonale; zbliża się ku nam, idzie prosto, widocznie chce przejść przez równinę, i z drugiej strony na lewo od nas zanurzyć sią w trawie. Już jest w połowie drogi, na odległość siedmiu metrów, strzelam do niej z karabinu.

Ludzie moi byli przekonani, ze zwierz padnie na miejscu, Msiambiri założył się nawet z Rodzanim o dzban moa (piwo krajowe), że „pan" wielką strzelbą nosorożca na miejscu ubije. Jednak Msiambiri przegrywa zakład, bo zwierz postrzelony, rzuca się z wściekłością na nas. Rozpraszamy się wszyscy po trawach. Zwierzę słabnie widocznie, chwieje się i pada martwe akurat na mojem dawniejszem stanowisku.

Teraz dopiero zaczynają się żywe rozprawy na temat zakładu. Msiambiri, figlarz wielki, wykłamuje się na wszelkie sposoby, że w zakładzie nie chodziło o to, czy nosorożec padnie na miejscu, lecz czy będzie mógł uciekać tak daleko, jak jego towarzysz.

Przerywam im tę dyskusyę i idziemy ćwiartować i rozbierać naszą zdobycz. Ledwie na godzinę w pół do 11-tej w nocy mięso było dostawione do obozu.

Około północy, kiedy już wszyscy w obozie po całodziennych trudach w głębokim śnie byli pogrążeni, jedna z krążących koło obozu panter wspięła się na palisadę, chcąc ją widocznie przeskoczyć. Nagle noga jej się obsunęła i biedaczka spadła z łoskotem na szałas. W przerażeniu zaczyna się rzucać, szarpać, dach w końcu się zapada i pantera dostaje się do środka obozu. Hałas ten budzi nas, zrywamy się na równe nogi. W pierwszej chwili nie wiemy, co się stało, lecz gdy przy świetle rozpalonych ognisk ludzie moi ujrzeli panterę, powstał popłoch i gwałt nie do opisania, zaczęto uciekać na wsze strony, wydając dzikie okrzyki przerażenia. Trwało to zaledwie kilka sekund; przerażone zwierzę rzuciło się w bok, dotarło do najniższego szałasu, wskoczyło na dach, potem na palisadę, i tyleśmy ją widzieli. Zdaje mi się jednak, że przyjęcie, jakiego doznała w obozie nocy dzisiejszej, utkwi jej na długo w pamięci, a my przynajmniej na czas jakiś będziemy mieli względny spokój. Kładziemy się więc do łóżek i zasypiamy spokojnie.

Nad ranem słyszymy jednak jeszcze głośne ryki. Sądząc po licznych śladach, jakie zostały na mokrej ziemi, zdawać by się mogło, że cała falanga panter nawiedziła nas tej nocy. Ja jednak myślę, że to tylko ta jedna krąży ciągle po okolicy i pilnuje naszego obozu. Będę czekał cierpliwie stosownej chwili, ażeby jej dać dobrą nauczkę.

Dzień 7 kwietnia przeszedł bez wrażeń; dnia 8-go biegaliśmy za tropem dwóch słoni; wysiłki nasze jednak były bezowocne.

Dopiero nazajutrz odnajdujemy świeże tropy ośmiu słoni, a między nimi dwóch wielkich samców.

Po dwugodzinnym pochodzie doganiamy je. Strzelam najpierw do starego samca, który pada na miejscu, drugiego samca i jedną z samic raniłem lekko. Oboje jednak umykają, gonimy za nimi dzień cały, ale bezskutecznie. Wieczorem posyłam w dalszą pogoń paru ludzi, bo szkoda mi stracić zdobyczy, wszystkie zabiegi jednak spełzły na niczem. Po całonocnym pościgu ludzie moi wracają z niczem[1].

Cały tabor przenosi sie do zabitego słonia, dwie noce spędzamy na oprawianiu i wędzeniu mięsa, potem zaś wracamy wszyscy do dawnej siedziby.

Dnia 13-go udało mi się zabić samicę słonia, która dwa razy nacierała na Rodzaniego; wpakowałem jej pięć kul w okolicę serca, powinna była paść na miejscu, a jednak odchodzi sobie truchcikiem, farbując zlekka.

Idziemy za nią w pewnej odległości, spodziewając się że lada chwila padnie. Jakoż, szczęśliwym dla nas trafem, samica w ucieczce swej zbliża się coraz bardziej do obozu, wreszcie po półgodzinnym pochodzie, pada martwa, zapewne wskutek wewnętrznego krwotoku, bo w brzuchu znaleźliśmy pełno krwi.

Dnia 17-go, to jest nazajutrz, spotykam przypadkiem całe stado bawołów, za nimi zaś w pewnem oddaleniu postępują trzy przepyszne lwy. Zanim się zmierzyłem, zwierzęta znikają szybko w trawie, ścigamy je czas jakiś, ale napróżno. Chcąc nie chcąc wracamy do bawołów.

Doganiamy je wkrótce i dwa kładę trupem; co prawda, strzelałem trochę na oślep, nie wybierając najładniejszych okazów, ale roślinność jest tak gęsta, że całych zwierząt dojrzeć niepodobna; ujrzy się tylko od czasu do czasu ponad trawami kawał grzbietu bawołu i tyle uciechy. Niech się co chce dzieje, a ja strzelam do trzeciego. Zwierz raniony odłącza się od stada i umyka w bok; puszczamy się za nim.

Niebezpieczna to, co prawda, wycieczka ścigać ranionego bawołu wśród gęstwiny, ale zachowujemy zimną krew i przytomność umysłu. Kambombe i jeden z czarnych biorą na siebie obowiązek czuwania nad nami, z wierzchołka drzewa rozpatrując bacznie okolicę. My zaś postępujemy w trawach na oślep i co chwila zwracamy pytające spojrzenia na naszych szyldwachów. Ściganie nosorożców lub słoni jest dużo bezpieczniejsze, bo przynajmniej zwierzęta same ostrzegają nas o swej obecności; nosorożec chrząka głośno, a słoń wydaje krótkie, urywane pomruki, lub też ryczy z wściekłości. Bawół zaś przeciwnie, przyczaja się w trawach, staje nieruchomy i skulony, bez ruchu, tak, że śmiało możnaby go wziąć za przewrócony pień drzewny. Wstrzymuje oddech, przysłuchując się, skąd myśliwy nadciągnie.

Posłyszawszy kroki, przyczaja się jeszcze lepiej i czeka. Gdy myśliwy jest już blisko, rzuca się na niego w mgnieniu oka, a wtedy nikt już śmierci nie ujdzie. Oto są przyjemności polowania w zaroślach.

Na odkrytym polu dzieje się o wiele lepiej. Zwierz, widząc już zdaleka niebezpieczeństwo, naciera na czło-

[1]) W kilka tygodni potem znalazłem moją zdobycz martwą, wyjąłem z niej trzy kule, a na pamiątkę wziąłem sobie kły ważące 16 kilo.

wieka, który, mając więcej czasu, może wycelować do niego i strzelić w pełnym biegu. Chodzi tylko o to, aby zachować zimną krew i dotrzymać do tej chwili, gdy bawół, pochyliwszy łeb do ataku, nadbiegnie tuż, tuż; wtedy kula, wpakowana między rogi, położy go na miejscu.

Wracajmy jednak do naszego polowania. Nasi ludzie z wierzchołka drzewa dojrzeli łeb bawołu nieco dalej na lewo, probujemy więc okrążyć zwierza bez szelestu, posłyszał jednak nas i zwrócił się w stronę, skąd dochodziły go odgłosy. O każdym jego ruchu daje nam znać Kambombe ze swego obserwatoryum. Zostawiamy więc jednego z ludzi nakazując mu, aby siedział spokojnie i tylko od czasu do czasu łamał gałęzie dla zmylenia czujności zwierza, podczas gdy ja i moi ludzie skradamy się pocichu, aby go zajść z przeciwnej strony. Wybieg udał się nam wybornie. Bawoł zwrócił łeb w tę stronę, skąd go dochodził trzask łamanych gałęzi i bacznie nadsłuchiwał, ja zaś zaskoczyłem go z nienacka od tyłu i jednym wystrzałem w ucho położyłem zwierza na miejscu. Zdobyłem sobie rogi tak wspaniałe, o jakich nawet nie marzyłem, nieszczęście jednak chciało, że jeden z nich na końcu był nieco uszkodzony. Dwa bawoły każę przenosić zaraz do obozu, trzeciego zaś pozostawiam na placu boju w nadziei, że świeże mięso przywabi lwy. Chcę nawet urządzać taką przynętę przez dni kilka, aby lwy się znęciły i przywykły, a potem urządzimy nocną wycieczkę, bo noce są księżycowe i jasne.

Przez cały ten czas pantera nie opuściła nas ani na chwilę; z nadejściem wieczoru krąży bezustannie wokoło obozu, węsząc i upatrując stosownej chwili, aby zrobić jaką szkodę. Jesteśmy nawet zmuszeni trzymać straż przez noc całą, bo taka głodna bestya może być niebezpiecznym sąsiadem.

Lwy z początku także nas odwiedzały, ale widząc, że nic nie wskórają, odeszły w głąb lasu, szukając pożywienia, a nas zostawiły w spokoju.

Hyeny od czasu do czasu podchodzą pod nasz obóz, węszą, a potem idą dalej, wyjąc żałośnie. Jedna pantera tylko nie opuszcza nas, ale miarka mojej cierpliwości już się przebrała i teraz wypłatam jej dobrego figla. Zwinne i przebiegłe zwierzę wskakuje na wszystkie drzewa, otaczające obóz, aby lepiej widzieć, co się u nas dzieje.

Codziennie też kładziemy na gałęziach najbliższego drzewa porządny kawał mięsa, jako przynętę, licząc na szkodnika apetyt. Drzewo stoi w pełnem oświetleniu ognisk i możemy obserwować wszystkie manewry zwierzęcia.

Mogłem, co prawda, dać jej trutkę strychniny w mięsie, ale wolę użyć środków szlachetniejszych dla zgładzenia jej z tego świata.

Z początku zwierzę jest bojaźliwe i nieufne, zostawia mięso nietknięte, lub porywa je dopiero nad samem ranem. Pomału jednak zaczyna się ośmielać, porywa mięso wtedy, gdy w obozie jeszcze gwarzymy i wreszcie kończy się tem, że zaraz z wieczora zjada przynętę.

Zdaje mi się, że chwila mojej zemsty już nadeszła. Teraz do pantery zabierzemy się na ostro. Tego jeszcze dnia każę mięso przybijać w zwykłem miejscu gwoździami. Nastawiam reflektor elektryczny tak, aby promienie padały prosto na drzewo, robię jednak poprzednio próbę, która udaje się wyśmienicie.

Z nadejściem wieczora w obozie ludzie gwarzą i jedzą, ja zaś z flintą w ręce siadam sobie na stanowisku i paląc fajkę, czekam. Naraz, zanim mogę się opatrzeć, pantera zjawia się nagle na gałęzi drzewa i najspokojniej zabiera się do zwykłego pożywienia. A, poczekaj, dam ja ci dziś kolacyę! Nastawiam reflektor tak, że drzewo i zwierzę stają w pełnem oświetleniu; manewr mój przechodzi niepostrzeżony, pantera w dalszym ciągu odrywa mięso. W tej chwili posyłam jej kulę w samą szyję, zwierz pada na ziemię ciężko, jak kłoda. Przy pomocy reflektora widzimy doskonale panterę, jak leży bez ruchu tuż u pnia drzewa; zabieramy ją zaraz do obozu, gdzie Tszigallo oprawia ją natychmiast[1]) ku ogólnej ciesze. Zdaje mi się, że w tym razie można przytoczyć morał z bajki la Fontaine'a: *Patience et longueur de temps, Font plus que force ni que rage.* Zwłaszcza w rzemiośle strzelca. Stało się to w wigilię polowania na bawoły, to też mogliśmy spać spokojnie przez całą noc następną. Lecz mnie jedna rzecz niepokoiła, czy czasem hyeny nie uwinęły się zaraz z wieczora z pozostawionym bawołem, co było bardzo możebne. Nie śmiem nawet marzyć, aby lwy, zwietrzywszy świeżą zdobycz, znęciły się; zwierzęta te są zwykle podejrzliwe i lękają się zasadzki. Ta myśl nurtuje we mnie przez noc całą i spać mi nie daje. Co będzie, to będzie, na wszelki wypadek wyruszamy skoro świt z obozu. Zwolna i cicho posuwamy się po błocie w kierunku pozostawionego bawołu; miejsce to znajduje się o jakich dwadzieścia minut drogi od obozu.

Na dworze pochmurno i ciemno, nad nami wisi niebo czarne; deszczyk drobny pada, a od wschodu wieje wiatr zimny i przenika aż do kości. Warunki arcymiłe. Posuwamy się z wiatrem naprzód, poprzez trawy i ziela wysokie, zbliżamy na pewną odległość od oznaczonego miejsca, wdzieramy się na niewielkie wzgórze, aby lepiej widzieć. Wczoraj zostawiliśmy bawołu pośrodku niewielkiej równiny. Niema go — zniknął. Nie jesteśmy przecież w błędzie, wiem doskonale, że tu właśnie zostawiliśmy go.

Podczas gdy tak w milczeniu przypatrujemy się, nagle wszystkim myśl jedna przychodzi do głowy: może to lwy!... nie, napewno żadne inne zwierzę nie spłatałoby nam podobnego figla, to czyn bajecznie odważny jak na króla puszczy. Trzeba się jednak przekonać. Zamierzamy naprzód przejść naokoło trawy, a potem szukać dalej. Wiatr szumi w najlepsze, można iść śmiało, nie zdradzimy się. Tambarika, który jest z nas wszystkich najsmaglejszy, przoduje o jakie trzy lub cztery metry.

Pochylamy się i wpatrujemy w ciemności.

Nagle oczom naszym przedstawia się taki widok: bawół, nawpół schowany w trawie, leży, a wokoło niego krążą ciemne jakieś bestye... lecz co to? Hyeny, czy lwy? To lwy, bezwątpienia to one, bo oto na uboczu stoją trzy hyeny wielkie uszy nastroszywszy, a wzrok pożądliwy wlepiają w ofiarę, wyczekując tylko chwili, gdy lwy się nasycą, a one nareszcie będą mogły wziąć udział w krwawej uczcie. Ich brudno-żółte grzbiety ledwo odróżnić można wśród ciemności. Lwy zaś są tak zajęte, że na nic nie zwracają uwagi, co nam ogromnie ułatwia polowanie. Przybliżamy się jeszcze o kilkanaście kroków wśród gęstych krzów. Chwilę trwa narada i oto co postanowiliśmy. Tszigallo i Rodzani okrążą trawy i zajdą zwierzęta od tyłu, będą szli prosto bez żadnych ostrożności, rozmawiając; gdy lwy posłyszą szelest, zostawią zdobycz i cofną się w stronę przeciwną, to jest na nas. A wtedy — zobaczymy! Jedno

[1]) Należy wypaproszyć.

tylko mnie martwi, to te ciemności, nic prawie nie widzę, a deszcz, jak na złość, coraz lepszy. Trzeba jednak się śpieszyć, po jeśli wiatr swój kierunek zmieni, a zwierzęta nas zwęszą, to gotowe nam umknąć z przed nosa. Tambarika i Msiambiri w razie napadu ze strony zwierząt mają broń w ręku. Jak zwykle moje działanie zależy od pomyślnych okoliczności.

Jeżeli przypadkiem lwy, idąc poomacku, wezmą nas za drzewa, co bardzo być może, bo stoimy nieruchomo, jak drągi, to wtedy zatrzymam je wystrzałem w przyzwoitej od nas odległości. W ostatecznej chwili wydam rozkazy, teraz tylko przestrzegam ludzi moich, aby nie strzelali w kierunku towarzyszów; broń jest gotowa, nabiłem mój karabin 303 i czekam, śledząc wzrokiem za naszą naganką.

Chwila oczekiwania jest najgorszą. Staje się oko w oko z niebezpieczeństwem, a może ze śmiercią, bo chociaż lwy, ujrzawszy nas, będą miały porządny strach, jednak kto wie, czy od każdego chybionego strzału nie zawisło życie któregoś z nas? Tszigallo i Rodzani przybyli już do oznaczonego celu i zajęli tyły zwierzętom; tym sposobem wzięliśmy je w dwa ognie. Na dany znak czarni zanurzają się w trawie, zamieniwszy między sobą słów parę. W tej chwili stała się rzecz straszna. Trzy lwy skoczyły raptem w powietrze, a potem zwróciły się w stronę, skąd dochodziły odgłosy. Przez tę parę sekund robię szybki przegląd zwierza; z tyłu, to jest najbliżej nas, stoi młode lwiątko, na samym przodzie lwica, pośrodku zaś króluje lew, pyszny, zjeżywszy bujną i gęstą grzywę; wszystko troje wyszczerzaja zęby, mrucząc złowrogo, jak to zwykle czynią lwy, gdy są niepokojone.

Trwało to mgnienie oka, potem nagle lwy robią gwałtowny zwrot i idą ku nam, trochę na lewo. „Baczność!“ rzucam stłumionym głosem moim ludziom. Lwica idzie pierwsza, puszczam ją, za nią postępuje lew, przykładam się, mierzę w szyję i palę. Dzięki mej broni bezdymnej widzę doskonale, że zwierz pomyka dalej, walę do niego drugi raz, mierząc w łopatkę i skaczę w bok, porywając drugą strzelbę nabitą. Lew ryknął z bólu i zniknął w trawie wysokiej razem z rodziną. Zupełnie nie byłem z siebie kontent. Naprzód strzał w szyję spudłowałem z powodu szybkiego biegu zwierzęcia, następnie zaś nie wiedziałem dobrze, gdzie go drugim razem postrzeliłem, chociaż, posłyszawszy wściekły ryk bólu, pewny jestem, że go raniłem. Spodziewałem się ataku, widząc, jak skoczył naprzód z wyprężonym ogonem. (Wspominałem już, że brak dymu i odgłos strzału, powtórzonego przez echo, mylą czujność co do stanowiska myśliwego, w tym razie najnaturalniejszym ruchem u zwierzęcia jest skok naprzód). Ludzie moi w tej chwili wdrapali się na drzewa, badając okolicę; nic dostrzedz nie mogą. Radzi nie radzi idziemy za tropem, znajdujemy ślady krwi coraz większe, zwierz farbuje.

Namyślam się, co prawda, czy wejść w gęstwinę, czy nie. Naraz o jakichś dwadzieścia pięć metrów dalej Kambombe z wierzchołka drzewa krzyknął:

— Jest, jest, już zdycha, zbliżcie się powoli. Powoli tylko, bo patrzy w waszą stronę.

Przyznaję otwarcie, że wolałbym być gdziekolwiek indziej, niżeli wśród gęstych traw z lwem w agonii. Znam dobrze te potężne, straszliwe ryki, już raz w życiu je słyszałem w pobliżu Tete i chyba tylko cudem uniknąłem śmierci.

To też, zachowując wszelkie ostrożności, wytężywszy wzrok i słuch, posuwam się naprzód. Trawy stają się coraz rzadsze i niższe, tak, że skrywają nas zaledwie. Naraz oczom moim przedstawia się widok, którego chyba nie zapomnę nigdy: lew siedzi tyłem do mnie, łeb ma nizko opuszczony, co chwila traci równowagę, chwieje się, zbiera siły, podnosi się, aby paść znów z rykiem wściekłości i bólu.

Robi szybko bokami. Nie stałem długo w niemej kontemplacyi, objąłem cały ten groźny obraz jednym rzutem oka. Zmierzyłem się do zwierza, celując w kark, strzał padł, a ja, nie odejmując broni, patrzę, co dalej będzie, kula jednak zrobiła swoje — lew padł na miejscu.

Jestem głęboko przekonany, że gdybyśmy byli zaszli lwa od przodu, oko w oko, byłby zebrał resztki sił, zrobił ostatni wysiłek i rzucił się na nas, a wtedy groziłaby nam śmierć niechybna.

Trzeba być nadzwyczaj ostrożnym, polując na lwa w gęstych trawach i jeżeli w pobliżu niema drzewa, które mogłoby służyć za obserwatoryum, stokroć lepiej wyrzec się zdobyczy, aniżeli ścigać ją wśród gęstwiny, bo nie wiadomo wtedy, gdzie się idzie i co się robi.

Pościg już sam przez się jest niebezpiecznym, nawet na miejscach bardziej odkrytych. Lew skulony łatwo skryć się może, gdy chce, najmniejszy krzaczek służy mu za zasadzkę, a gdy się go spostrzeże, już jest za późno. Pozostaje jedyna deska ratunku, strzelać do niego w „skoku“; instynktownie każdy to robi, ale strzał taki udaje się raz na sto razy, bo nie ma czasu złożyć się i zmierzyć, wprost pali się na oślep i najczęściej pudłuje.

Zabić lwa w skoku, to traf szczęśliwy, ale w łowach na grubego zwierza do takich „szczęśliwych trafów“ dopuszczać nie należy.

Polowanie z psami, to zupełnie co innego, bo psy nas najpierw uprzedzają o zwierzynie, potem zaś skaczą koło niej i ujadają, zwracając na siebie całą uwagę zwierzyny, myśliwy wtedy ma więcej czasu, aby podejść i zmierzyć się. Ja nigdy nie miałem szczęścia do psiarni. Ba! żeby było inaczej, to co za wspaniałe rezultaty mogłem mieć z polowania po niektórych okolicach.

Lew i dwa bawoły były to ostatnie trofea, jakie przyniosłem do obozu Niaragué.

Na dwa, czy trzy dni przed wyjazdem wypadkiem spotkaliśmy oddział dzikich Mafsitis (krajowców z Mepseni); była to zapewne ich zwykła wycieczka w celu rabunku i grabieży.

Gdy zobaczyli, że jesteśmy dobrze uzbrojeni i nic sobie z nich nie robimy, złożyli na ziemi swe tarcze i maczugi, potem zaś zbliżyli się do mnie w zwartej gromadzie i klasnąwszy trzykrotnie w dłonie, podeszli bliżej. Takie klaskanie oznacza u krajowców powitanie wodza.

Przyjąłem poselstwo z godnością. Zasiadłem w cieniu u stóp drzewa, wokoło mnie wszyscy ci zbóje powystrajani w dziwaczne pióropusze i doprawdy komicznie musiałem wyglądać w tem towarzystwie. Rozmawialiśmy chwil parę, przeważnie o pogodzie, potem pożegnaliśmy się jak najserdeczniej, w duchu życząc sobie obustronnie, abyśmy się już nigdy nie spotkali.

W chwili, gdy z całym taborem mieliśmy opuszczać Makanga, król tutejszy, któremu już poprzednio złożyłem pożegnalną wizytę, przysyła z wiadomością, że lew zjawił się niedawno i w okolicznych wsiach czyni spustoszenia; jeżeli chcę go zabić, to jego królewska mość postara się o ludzi, potrzebnych do obławy.

Co prawda, nie mam nic do stracenia, polowanie takie zajmie mi najwyżej dzień jeden, ale za to mogę zdobyć wspaniały okaz do mojej kolekcyi.

Wyprawę całą posyłam naprzód, zapowiadając, że jeżeli za parę dni nie dogonię ich w drodze, w takim razie niech się zatrzymają i czekają na mnie. Sam zaś z kilku ludźmi udaję się do wsi Kamsikuri nad Ponti, gdzie podobno lew plądruje okolicę.

Przybywam na miejsce już późnym wieczorem.

Wódz czuje się w obowiązku uwiadomić mnie, że nazajutrz rano stu ludzi czekać będzie na moje rozkazy.

Kryjówka zwierza znajduje się w pewnej odległości od wioski i krajowcy tutejsi robili już dwie obławy, nie mogąc wyśledzić jego leża wśród gęstych krzaków i zarośli.

Lew ma już na sumieniu dwie damy tutejsze, jednego mężczyznę i parę psów. Tej nocy powiększa jeszcze liczbę swoich ofiar. Korzystając z tego, że jest czarno, jak w piekle, robi dziurę w dachu szałasu, gdzie stały kozy, dusi pięć sztuk, jedną zaś na miejscu pożera. Cała awantura odbyła się tak cicho, że nikt z mieszkańców nie usłyszał najmniejszego hałasu. Pozostałe kozy nosiły ślady licznych ukąszeń na karku i łopatkach, lew widocznie zadawał im ciosy dla zabawy. Ładna zabawa, co?

Zaraz zrana zjawiło się 80 ludzi, z których 72 jest uzbrojonych w strzelby. Pierwszą moją myślą było, ażeby im nie towarzyszyć, bo znam doskonale takie obławy, nie pierwszy to raz biorę w nich udział. ale zdaje mi się, że na coś podobnego ostatni raz dałem się złapać.

Naprożno prosiłem i tłomaczyłem krajowcom, ażeby pozostawili strzelby we wsi, odpowiedzieli mi: A czemże będziemy się bronili w razie niebezpieczeństwa? Uwaga ta zdaje się na pozór zupełnie słuszną, ale co dzicy są w stanie wyprawiać ze swemi strzelbami, o tem nikt nie ma pojęcia. W razie gdy lew ranny zwróci się do którego z nich, pierwszy impuls jest zawsze rzucić strzelbę, a samemu, wziąwszy nogi za pas, uciekać; jeżeli zaś który z dzikich zdecyduje się na strzał, to napewno nie mierzy, lecz strzela na oślep i pudłuje. A nie przyjdzie im na myśl, jak nam, białym, bronić się kolbą, która w takiej czarnej łapie strzelca znaczy tyle, co flet lub fajka.

Mieszkańcy tutejsi, rzucając się na lwa uzbrojeni w broń palną, popełniają pewnego rodzaju czyn bohaterski, bo cóż znaczy strzelba w ich ręku? — nic. A iść na rozwścieczoną bestyę nawpół nagim i prawie bezbronnym, to przecież bohaterstwo. Obyłoby się bez tego, gdyby krajowcy brali z sobą włócznie i maczugi, któremi, mówiąc nawiasem, władają znakomicie. Lew w takim razie byłby mocno pokiereszowany i nie uszedłby cało. Podobne polowania odbywają się w okolicach, gdzie proch jest mało znany.

W kraju Makanga dzieje się inaczej, tu, w razie wojny, nie masz człowieka, któryby własnej broni palnej nie posiadał. Więc jakżeż opuścić sposobność, gdzie można się strzelbą pochwalić, — wszystkie moje perswazye pójdą na marne, będziemy strzelali do upadłego.

Pierwszą moja myślą jest, ażeby nie brać udziału w polowaniu z rozpuszczoną i nawpół dziką bandą, ale jak się od tego uwolnić? A może uda mi się jako tako urządzić obławę? W każdym razie spróbuję.

Przed wyruszeniem tłomaczę moim ludziom metodą poglądową, jak mają postępować. Najpierw żądam, ażeby wszyscy ustawili się w podkowę, ja będę na jej końcu. Gdy osaczymy zwierza, podkowę należy zamknąć i cofnąć się w tył, ażeby pozostawić szersze pole do walki, ja zaś z lwem pozostanę w środku.

Przestrzegam tylko, ażeby nie strzelać, chyba tylko w ostatecznym razie i to nie w stronę towarzyszów.

Po takiej przemowie udajemy się na miejsce, gdzie podobno lew przebywa. Po krótkiej chwili odnajdujemy tropy, naganka rozwija się w podkowę na około gęstych krzewów. Kilkanaście tam-tamów, które wódz w drodze łaski nadzwyczajnej dał do wyprawy, postępuje ostrożnie po za naganką i w danej chwili rozpoczyna piekielną muzykę. Polowanie z bębnem, to coś nowego! Oby lew równie dobrze przyjął fanfarę, ale o tem bardzo wątpię.

Postępujemy w porządku przy dźwiękach ogłuszających, nagle z lewego skrzydła naganki dochodzą nas przeraźliwe okrzyki: widocznie spostrzeżono lwa. Wśród wrzawy ogólnej odróżnić można okrzyki, że lew posuwa się razem z nami. Zatrzymuję na chwilę pochód, sam zaś wyprzedzam naganke i zachodzę od końca podkowy, ażeby się naocznie przekonać, czy lew postępuje razem z nami.

Każę zacieśniać skrzydła obławy, ludzie moi, rozproszeni po całej linii, kierują krajowcami. Tambarika jeden idzie za mną, dotychczas wszystko się udaje. Działajmy!

W kilka minut dochodzimy do miejsca, gdzie krzewy są wprost przygniecione lianami, które w długich splotach zwieszają się z gałęzi drzew liściastych.

Wszyscy zanurzamy się w gąszcza; otacza nas półmrok. W tejże chwili lew próbuje przedrzeć się przez prawe skrzydło obławy; liczne wystrzały odzywają się z tej strony; wreszcie słychać krzyki, że lew przeszedł linię. Wtedy lewe skrzydło daje ognia, właściwie nie wiem już po co; powstaje gwar nie do opisania. Naokół nas tworzy się obłok dymu, nic nie widać, krzyki i strzelanina ogłuszają; nowe ryki lwa powiększają zamęt; przerażenie i zamieszanie ogólne. Zdawałoby się, że to pole krwawej walki, na śmierć i życie, a nie zwyczajne polowanie.

W tej chwili wesołość moja bierze górę i wybucham głośnym śmiechem, myśląc o tych marnych idyotach, którzy w dalszym ciągu nie wiedzą po co, na co i dlaczego co robią! Ale wkrótce przestaję się śmiać, albowiem sytuacya moja jest mniej zabawną. Strzały huczą mi nad głową, a kula ze świstem przeleciała mi koło ucha i utkwiła w pniu drzewnym. Za tym pniem szukamy schronienia z Tambariką, to jedyny nasz ratunek.

Przez dziesięć minut wściekłe tam-tamy biją do ataku, 72 lufy zieją ogniem, opróżniają się, nabijają i znów sieją ognie. Dwie kule jeszcze utkwiły w naszej kryjówce, a inne przelatują tuż blizko, Naokoło słychać tylko przeciągłe bzzz...

Wreszcie krzyki cichną i bębny milkną, do uszu naszych dochodzi tylko gwałtowna wrzawa, obłoki dymu rozpraszają się, co nasuwa nam myśl, że polowanie skończone.

Ludzie moi nadciągają i opowiadają, co się stało.

Lew ukazywał się kolejno w różnych stronach naganki, szukając wolnego przejścia, odstraszony jednak strzałami, zawracał. Wreszcie, upatrzywszy miejsce wolne, w dwóch skokach wydostał się przez linię i umknął drogą zkądeśmy przyszli, nie będąc postrzelony przez nikogo.

Inaczej się dzieje z krajowcami, jedenastu mamy rannych, a dwóch nawet bardzo ciężko. To jeszcze i tak nadzwyczajnie mało. Bo pomyśleć sobie, że 80 ludzi tworzy koło 50-metrowe i strzela wciąż do środka przez kwadrans! No, gdyby po takiej kanonadzie jedna cała głowa kędzierzawa została, to i tak byłoby szczęście wielkie.

W ogólnym popłochu widocznie strzelali za wysoko, Moim strzelcom względnie mało się dostało, bo jak tylko pukanina się rozpoczęła, rzucili się plackiem na ziemię i cały czas przeleżeli.

Jednak Tszigalo ma włosy osmalone od kuli, która mu przeleciała tuż koło głowy, a Rodzani otrzymał postrzał w nogę.

Lew jak umknął, tak dotąd umyka, nie znaleźliśmy ani kropli farby na tropie; ale żeby mi nawet był wlazł pod sam nos, tobym go nie zobaczył, kiedy najbliższych towarzyszów odróżnić nie mogłem przez gęste obłoki dymu.

Oto są rozliczne przyjemności polowania z naganką dzikich ludzi, uzbrojonych w strzelby. Bo narażać skórę swoją dla dobrej sprawy rozumiem, ale dać się uśmiercić głupią kulą, wypuszczoną nieumiejętnie przez jednego z czarnych, to zdaje mi się byłoby zanadto komiczne.

I ja przecież chodziłem ze strzelbą dniem i nocą prawie, a nigdy żadnego wypadku nie miałem, dzięki ostrożności w używaniu broni palnej, jaką to ostrożność kazałem zachowywać ludziom moim.

Nie pozwalałem nigdy podczas pochodów odwodzić kurków nabitej strzelby. To byłoby nieustanną groźbą dla życia jednego z towarzyszów. Następnie wymagałem koniecznie, ażeby strzelba była zawsze przewieszona przez ramię w pozycyi zwykłej, to jest kolbą naprzód.

Nie mogę zrozumieć doprawdy, skąd dzicy nauczyli się noszenia broni wręcz przeciwnie, to jest lufami naprzód, a kolbą w tył, pod pretekstem, że tylko tak umieszczona broń zachowuje równowagę. Panowie podróżnicy mało na to zwracają uwagi. A przecież to jest przyzwyczajenie bardzo niebezpieczne. Najpierw ręka się poci, a od potu lufa rdzewieje, a jeżeli przypadkiem kurki są odwiedzione, wystarcza tylko niebacznie zaczepić o gałąź, a strzelba wypali. Winszuję wtedy tym, co idą naprzód, kulka może ich łatwo dogonić.

Czyż nie mamy i tak dosyć nieprzyjaciół w Afryce, jak febry żółte, gorączki, dzikie zwierzęta, trzebaż nam jeszcze narażać życie na strzał niebaczny służby naszej?

Wracajmy jednak do lwa.

Zdaje mi się, że pierwszem naszem przyjęciem tak się „sparzył“, że nie prędko będzie można go drugi raz osaczyć. Przytem i ja sam nie mam wielkiej ochoty na powtórne polowanie. Należałoby strzelby zostawić we wsi, a wziąć tylko łuki i strzały. Ale dzicy na to się nie zgodzą, a ja inaczej polować nie myślę. To też zostawiam ich lwom na pożarcie, a sam umykam dalej.

Od tej pamiętnej strzelaniny ile razy zapraszany jestem na obławę na wszelkie lwy, zgadzam się, ale stawiam swoje warunki: strzelb żadnych, ale zato maczugi, włócznie i strzały, masami bębnów i tam-tamów ile chcecie, ale od broni palnej wara!

Wspomniałem już poprzednio, że krajowcy nie tępią nigdy lwów przebywających w puszczy, jeżeli zaś w wyprawach swoich spotykają je, to umykają co sił starczy.

Inna rzecz, gdy lew niepokoi ich w siedzibach i krzywdzi na dobytku, wtedy idzie bój krwawy na śmierć i życie, a jakie są jego skutki, wiadomo.

Ja z tem wszystkiem opuszczam walecznych mieszkańców wioski i doganiam w trzy dni moją wyprawę razem z całym taborem.

W tym czasie mieliśmy jeszcze rozliczne awantury z lwami po drodze. Spotykaliśmy je kilkakrotnie, jednakże taka blizka znajomość z królem puszczy miała nam wyjść na złe.

Pod koniec miesiąca kwietnia lew w potyczce zranił nam człowieka i zniszczył dużo bagaży, narzędzi i odzieży.

Od pierwszych dni maja trawiłem liczne noce na czatach i zasadzkach na zwierza; różnie mi się udawało, czasem byłem w ciężkich terminach, ale o tem potem. Zawsze lepsze niebezpieczeństwa, niż brak zwierzyny, bo czasem zdarza się taka miła okolica, że od rana do wieczora łazisz i brodzisz po trawach, a tu, jak na złość, nic i nic, wszystko zależy od szczęścia.

Z dobremi minami wyruszamy w dalszą drogę na zachód od rzeki Kapotsze; okolica ta podczas suszy jest zupełnie pozbawiona wody, przez co i zwierza w niej mało, to też szybko przechodzimy te strony.

Posuwając się bardziej na południo-zachód, przez górzystą i pustą okolicę, przechodzimy koło rzeki Oundi.

Wreszcie natrafiamy na liczne ślady nosorożców, obozujemy kilka dni, próbując szczęścia. Co się zaś tyczy zwierzyny, to nie spotkaliśmy nic innego, oprócz pewnego rodzaju antylop.

Cała ta kraina jest niemiłą i dla pochodu nużącą, naokół tylko parowy, kamieniste łożyska wyschłych rzek, pagórki, skały, góry, co chwila staje na drodze przeszkoda, którą trzeba wymijać, okrążać, zdawaćby się mogło, że polujemy raczej na niedźwiedzie i dzikie kozy, niż na nosorożce.

A jednak zwierzęta te miłują okolice dzikie i spokojne, a jeżeli nie wdrapują się na góry wysokie, to drepczą bezustannie po mniejszych wzgórzach, bez różnicy, czy te wzgórza są nagie i skaliste, czy też pokryte bujną roślinnością.

Przez dni kilka tropimy nosorożca, ale wszystko napróżno, znajdujemy wciąż świeże tropy, lecz pospieszyć niepodobna, bo deszcz leje.

Zwierzęta nocą wypoczywają, a zaraz zrana posuwają się w dalszy pochód, to zakreślając olbrzymie koła, to krążąc bezustannie.

Z powodu tej wiecznej lataniny to tu, to tam, nosorożec został ochrzczony przez krajowców mianem „pembezé“, które pochodzi od czasownika konpembeza „kręcić“.

Zauważyliśmy, że kilka tropów prowadzi w kierunku łańcucha pagórków, gęsto zarośniętych, o kilka sążni na północ od naszego obozowiska. Zamierzam więc noc spędzić na wzgórzach, ażeby razem ze świtem rozpocząć polowanie.

Na niebie ledwo świta, a my już jesteśmy na nogach i zaczynamy poszukiwania. W chwil parę znajdujemy świeże tropy, idziemy więc za nimi, w jakieś pół godziny natrafiamy na inne, które, jak się zdaje, zapowiadają grubszego zwierza, porzucamy więc dawniejsze, a idziemy za tymi.

Co za szczęśliwy traf! Mogę powiedzieć, że mieliśmy nos, bo oto ledwie postąpiliśmy parę kroków, a już mamy wyraźne i świeże ślady nosorożca, który musi być niedaleko, albowiem ma dziwny zwyczaj. Powraca po jakimś czasie na miejsce, gdzie pozostawił ślady, i rozrzuca je rogiem na wszystkie strony. Dlaczego tak po-

stępuje, nie wiadomo. Czy to przez instynkt samozachowawczy, przeczuwający, że pozostałe za nim ślady zdradzą jego obecność? Nie mam pojęcia, wiem tylko, że nigdy tej manipulacyi nie zaniedbuje. Czasami nie urządza tego natychmiast, ale krążąc po okolicy czas dłuższy, wraca zawsze na miejsce, gdzie zostawił ślady i niszczy je doszczętnie. Z tego więc wnoszę, że i nasz nosorożec nie musi być daleko; trzeba nam się mieć na baczności.

Zdaje mi się, że to jedyny zwierz, który pierwszy rzuca się na człowieka, nie będąc przezeń napastowanym.

Podług mniemań niektórych myśliwych, tylko nam się zdaje, że nosorożec rozwścieczony „leci na nas“, on poprostu umyka przerażony przed niebezpieczeństwem w jakimkolwiekbądź kierunku, a że zwyle natrafia na myśliwego, to czyż jego w tem wina? Zdaje mi się jednak, że takie tłómaczenie manewrów zwierza jest trochę naciągniętem. Bo czyż kto analizował moment psychologiczny uczucia nosorożca w chwili, gdy ten ma się rzucić na swą ofiarę.

Bądź co bądź, przekonałem się kilkakrotnie, że skoro nosorożec poczuje bliskość człowieka, krąży i szuka naokół, jak ogar, węsząc tropy, dopóty, dopóki gdzieś się nie spotka. (C. d. n.)

Korespondencye.

Batiatycze dnia 15 września 1903.

I znów piszę pod wrażeniem odbytej licytacyi na polowanie w gminie Zubówmost powiatu Żółkiewskiego, gdzie do licytacyi stanął człowiek — prawie dzienny zarobnik — a znany kłusownik, nieposiadający żadnego majątku — i w obec tak pożądanych licytantów, jak 2 towarzystwa myśliwskie, które się o to ubijały i niżej podpisanego z konieczności, jako sąsiada Zubówmostu, polowanie to, które płaciło się rocznie 12 koron, wyszło do sumy 300 koron, co z kaucyą, kosztami itp. wydatkami, dosięgnie poważnej sumy 1000 koron.

Zwierzostanu żadnego, bo cały obszar nie przenosi 4000 morgów — ale zato graniczy na całej długości z lasami Hr. Potockiego — no i co przejdzie granicę, to trup.

Jako delegat i sąsiad starać się będę, by przeprowadzone zostało dochodzenie przez władzę, skąd weźmie ten pan tak znaczną sumę na luksusową zabawkę — tembardziej że nieopłaca nawet podatku osobisto dochodowego, coby się obecnie słusznie należało i skarbowi państwa, gdzie każdemu obszarnikowi jest wszystko policzonem! i ufam, że wysokie władze zbadają motywa, a dość powiedzieć, że gmina sama zobaczywszy, co się święci, sprzeciwia się niesłychanie hojnemu licytantowi.

Ze smutkiem dzielę się wiadomością, że stan kuropatw jest o wiele gorszy, niż w roku poprzednim i spotyka się stare bez młodych, które złośliwa ręka, jak też bardzo mokre lato i wiosna wyniszczyły.

Zajęcy stosunkowo jest dość, jednak dużo bardzo małych.

Choroba saren, o której w poprzednich korespondencyach doniosłem widocznie się rozpowszechnia, bo zewsząd dają się słyszeć głosy że się znachodzą nieżywe — a rady na to niema. — Dzieją się u nas rzeczy różne wbrew ustawie — strzela się do zajęcy już 8 września, kozy zabija się dlatego, że pod zimę wynoszą się w inne knieje — i inni szczęśliwcy – je wymordywują — no i wiele wiele byłoby do napisania, na dziś jednak robię tylko tę skromną uwagę — a może trafię tam gdzie potrzeba, a św. Hubert da, komu trzeba, opamiętanie.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski

Żurawniki 19. września.

Dziś porwała się u mnie w parku, przed psem legawym pierwsza słonka.

E. Münter.

KRONIKA.

Jubileusz. Przed kilku tygodniami odbył się, jak się dopiero obecnie dowiadujemy, jubileusz jednego z najstarszych członków naszego Towarzystwa, członka jego Wydziału i skarbnika w czasie przełomowym, p. Alfreda Dzikowskiego, a mianowicie jubileusz jego czterdziestoletniej zawodowej pracy, a ćwierćwiekowy istnienia znanej wszystkim naszym członkom firmy „Skład i fabryka broni, (c. k. nadworny dostawca) we Lwowie“. W szeregu licznych towarzystw, których szanowny jubilat jest członkiem, zjawiło się także prezydyum Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta celem doręczenia jubilatowi, który również przez długi szereg lat spełniał w tem Towarzystwie funkcye skarbnika, dyplomu członka honorowego. Serdeczne słowa, które wypowiedział przy tej sposobności prezes tego Towarzystwa do jubilata, świadczą o uznaniu, jakie sobie p. Dzikowski wyrobił wśród tych kół, w których pracy brał udział. Pamiętni gorliwości i ofiarności, z jaką p. Dzikowski pełnił ciężkie obowiązki naszego skarbnika, przyłączamy się do życzeń składanych w dniu jego jubileuszu. Że dzieje się to dopiero teraz, nie jest naszą winą — w skromności bowiem swojej, jaka go cechuje, nie pragnął p. Dzikowski żadnego rozgłosu, tak, że nawet bliżej niego stojące koła dopiero znacznie później o tej uroczystości się dowiedziały.

Pożywienie gołębi dzikich i swojskich. W wolu zabitego w Anglii dzikiego gołębia znalazł chciwy wiedzy uczony taką masę listków koniczyny, zwiniętych w kłębek, że nietylko je zważył, ale zadał sobie trudu i, choć kłębek był bardzo misternie zwinięty, rozwinął i przerachował listki. Było ich więcej niż 500. Z pomocą dat statystycznych, odnoszących się do ilości gołębi dzikich w Anglii, zestawiono tabele, dowodzące, że Anglia w krótkim czasie zostanie całkowicie zjedzoną przez gołębie dzikie. Aby udowodnić, że koniec Anglii przyspieszą także i gołębie swojskie, zgłosił się do tego samego uczonego jakiś gentleman, który przyniósł gołębia domowego, mającego w wolu 308 ziarnek grochu!

Wartość rewirów w Anglii. Według „*Chasse et Pêche*“ znajduje się w Anglii około 5.000 polowań w dzierżawie. Dochód z tych dzierżaw wynosi około 54,000.000 koron. Najdroższe polowanie, położone wysoko na północy Szkocyi kosztowało w ostatnim roku 225.000 koron. Rewir ten ma około 12.000 hektarów, dziewięć kilometrów rzeki i dał oprócz pewnej ilości innej zwierzyny w r. 1901 tylko 4.000 kuropatw, 1800 bażantów, 50 jeleni i 1150 łososi.

Drobne ogłoszenia.

Do sprzedania pięknie znaczony **wyżeł dalmatyński,** rasowy, pięciomiesięczny, bardzo ładny. Wiadomość w Administracyi „Łowca“.

Sprzedam tanio dwa orły (aquila fulva) 3 miesięczne, względnie zamieniam za jeże. Zarząd lasów Łuka; o. p. Niezwiska.

Kupię wyżła bardzo dobrego w 3-cim lub 2-gim polu. Jan Kleski w Werbiążu, poczta Kołomyja.

Zamieniam lub sprzedam wyżła rasy niemieckiej, z twardym włosem (Stichelhaar), szaro nakrapianego z brunatnemi płatami, idealnego pod względem budowy i owłosienia. Harras von Donnersmarck ur. 22. maja 1900 z Hertha-Altenau (D. H. St. B. Nr. 141 A. Bd. XXII.) po Ciss-Morrow (D. H. St. B. Nr. 72 A. Bd. XXII.) Dr. Marynowski, Bircza.

Kalendarzyk bankowy wysyłamy bezpłatnie. Polecamy naszą firmę do wszelkich transakcyi, wchodzących w zakres bankowy, Schütz i Chajes, Dom bankowy, Lwów, plac Maryacki 7.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.